

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIS W NUMERZE:

Antoni Cwojdzński
Michał Choromański
Arkady Fiedler
Marjan Hemar
Witold Leitgeber
Stanisław Stroński
Kazimierz Wierzyński

Vol. 3. Nr. 3. (108) Nowy Jork, 21 stycznia — New York, 21, N. Y., January 21st, 1945

Cena 20 ct.



HEJNAŁ PO ZDOBYCIU BREDY PRZEZ DYWIZJĘ PANCERNĄ

N O W A P O L I T Y K A

Nowy rząd polski zawrócił z drogi, po której dotąd szliśmy w naszej polityce i na której końcu czekała nas niechybna kapitulacja. Najgorsze co nas mogło spotkać: zgoda Polski na niewolę — ominęło nas, nie stanie się. Jest to bardzo wiele i każdy z nas odczuwa odmianę atmosfery, przyływ nadziei, poczucie, że oto wreszcie rząd, wojsko i kraj pracują zgodnie, że idą otwarcie prostą drogą do wspólnego celu; od chwili utworzenia rządu Arciszewskiego coraz jaśniej widzimy ile jest do zrobienia dla naszej sprawy, że nietylko nie jest ona stracona, ale że jej sprawiedliwe rozwiązanie może być kamieniem węgielnym nowej światowej polityki, jedynie zdolnej zabezpieczyć wolność i pokój. Dokonała się więc niewątpliwa zmiana doniosła i zasadnicza; każdy z nas przecież a przedewszystkiem rząd nasz napewno rozumie, iż jest ona dopiero pierwszym krokiem na nowej drodze, po której dziś już z rządem na czele wszyscy idziemy.

Porzuciwszy dawną politykę i dawną taktykę, musimy zacząć nową, co logicznie wypływa z faktu, że dawna okazała się błędna.

Jeżeli mówimy, że była ona błędna, nie zajmujemy się bynajmniej pobudkami tych, którzy te błędy popełnili; prowadzenie polityki w przełomowych historycznych okresach jest odpowiedzialnością tak wielką, że dobrą wolę możemy uznać tylko za niezbędny warunek do jej podjęcia, w najlepszym razie za okoliczność łagodzącą, nigdy zaś za zastęgę; nie obchodzą nas też w tej chwili ludzie tylko ich czyny. Ktokolwiek, z jakichkolwiek pobudek, będąc polskim ministrem, prowadził rozmowy z członkami Komitetu Lubelskiego — faktem będzie zawsze, że rozmowy te dodały znaczenia owym samozwańcom i były najgorszym przykładem dla wielu małodusznych Polaków.

Można dla różnych względów przystojności czy taktyki, można ale nie trzeba twierdzić, że polityka, którą rząd Arciszewskiego prowadzi jest dalszym ciągiem posunięć i zamysłów dawniejszych. W istocie przecież polityka ta, cofając się przed ostatecznymi konsekwencjami poprzedniej może być tylko nową, nietylko nową jako taktyka, ale przedewszystkiem musi ona wyjść z zasad zapomnianych, źle osądzonych, czy niezrozumianych, czy zwalczanych, w każdym razie niestosowanych oddawna przez emigracyjną politykę polską.

Kapitulacja, która nam groziła, do której nas zmuszano, — był to nie przypadek bynajmniej, ale naturalny koniec drogi, na którą daliśmy się sprowadzić, konsekwencja jeśli nie pewnego poglądu to nastroju, kierowniczy kół polskich, nastroju kłęski, poczucia, że Polska nie ma żadnych atutów, że skoro Anglja tak wobec nas postępuje, jakbyśmy nie mieli żadnego znaczenia dla świata — to najwiśdoczniej tego znaczenia nie mamy.

Nasz poprzedni rząd nigdy oczywiście nie podpisał zgody na rozdział sfery wpływów, nigdy nie przystał (nikt go zresztą o to nigdy nie pytał) na usankcjonowanie światowej niewoli, zawarte w horrendalnych pomysłach z Dumbarton Oaks. Cała przecież dotychczasowa taktyka polska była taka jakby sfery wpływów, rządy Stalina nad Wschodnią i Centralną Europą — były to rzeczy przesądzone, przeciw którym ani walczyć już ani buntować się nie można, z którymi conajwyżej można paktować, aby coś niecoś z niepodległości i jakieś tam granice uratować.

Polityka polska uznała za jedyne rzeczywistość polityczną jeden najbardziej tymczasowy, najbardziej zmienny jej moment, moment właśnie dzisiejszy i pracowała tak jakby to już była ustalona i zagospodarowana prawda, wszystkie nadzieje powierzając nieznannej przyszłości, na którą nie miała czy nie chciała wpływać.

Nie grzech też przesadnego realizmu, który ona chętnie na swe sumienie bierze — przeszłą naszą politykę przedewszystkiem obciąża, ale grzech braku realizmu właśnie, — gdyż rzeczywistość nie jest to bynajmniej tylko dzisiaj, ale i nasze siły i nasze możliwości i również ideje zdolne dzisiejszą rzeczywistość odmienić.

Nasza polityka, myśląc wciąż tylko o jednym, aby ją ktoś o sanacyjną "mocarstwowość" nie pisał, nie w teorii może, ale w praktyce przystała na traktowanie Polski jako jednocześnie małego państwa i możliwego agresora Rosji, którego trzeba dla dobra świata okupować i obozwładnić. Doświadczwszy tak straszliwej podwójnej agresji przestaliśmy wołać o to, co najśluszniej się nam należy: o nasze własne bezpieczeństwo; mordowani przez dwa totalizmy, broniliśmy się wciąż rozpaczliwie i niegodnie od najnikczemniejszych zarzutów, że jesteśmy faszystami. Jakkolwiek tłumaczylibyśmy tę taktykę — była ona taką właśnie i stała się ona w końcu naszą jedyne politykę. Doprawdy, że niema do czego nawiązywać i trzeba przeciwnie nagwałt odbudować zdrowe podstawy polityki polskiej, którą cały naród polski czuje instynktem, której nietylko konieczność ale i możliwości widzi wzrokiem zaprawionym w niewoli do przenikania ciemności.

Nowa polska polityka musi wyjść z założenia, że państwo polskie nawet całe, nieuszczupłone nietylko oczywiście ze Lwowem i Wilnem, ale ze wszystkim co jest na wschód od nazwanej po angielsku linii Curzona linii Stalin-Hitler nie jest bynajmniej zabezpieczone od rosyjskiej agresji dziś już tak cynicznie jawnej. Wszystkie więc nasze dyplomatyczne i propagandowe wysiłki iść muszą ku temu aby takie bezpieczeństwo uzyskać, aby wytworzyć stan rzeczy w Europie, któryby gwarantował niepodległość Polski. Jest rzeczą oczywistą, że wszel-

kie rozmowy o oddanie polskiej ziemi są sprzeczne z tą polityką i służą polityce rosyjskiej, dążącej do zagłady Polski przez pomawianie jej o agresję i gnębienie mniejszości.

Że prowadzenie nowej polityki wymagać będzie nieustannego i największego wysiłku, a jej cele dadzą się osiągnąć tylko przez nieugiętą walkę o tem mówić nawet nie trzeba.

Jesteśmy przecież przekonani, że rząd Arciszewskiego mający tak żywe czucie z krajem i wojskiem — na tę właśnie walkę tak mozolną ale wcale nie beznadziejną idzie i że taki plan właśnie sobie kreśli.

“Nic o nas bez nas” musi stać się znówu naszym hasłem. Ci małego ducha partyjnicy, których gryzie, że to Piłsudski tak stawiał nasze sprawy, niech się pocieszą, że de Gaulle stawia tak samo sprawy Francji i dzięki temu je wygrywa; kto zresztą tak spraw swego państwa nie stawia — zrzeka się niepodległości.

Bezpieczeństwo Polski jest oczywiście tylko częścią ogólnego bezpieczeństwa i to nietylko od niemieckiej agresji. Dlatego podjąć musimy trud, niezwykłe dziś ciężki, zdobycie głosu w sprawach nie związanych z nami bezpośrednio a od których przecież nasza niepodległość zależy.

Nejednemu wydaje się to żądanie prawie zuchwałstwem. A przecież to jest tylko nasze najświętsze prawo — jako pierwszego z Narodów Zjednoczonych, prawo, z którego korzystaliśmy już na konferencji w Wersalu, później przez tyle lat w Genewie i z którego zostaliśmy dopiero wyrzuci po bohaterstwie września, po obronie Londynu, po zdobyciu Monte Cassino.

Powtarzamy raz jeszcze. Sytuacja nasza polityczna, nie mówiąc o tragedji kraju jest oczywiście tak ciężka, że od rządu naszego, który dostał sukcesję ciągłej defenzywy — nie możemy spodziewać się rychłych sukcesów. Spodziewamy się natomiast po nim, że powiedziawszy pierwsze słowo naszej polityki, będzie szedł nieugięcie do odbudowy całego, niepodległego, możliwie najbardziej bezpiecznego państwa polskiego poprzez odbudowę naszej polityki, poprzez ciągłą naszą obecność i stanowczość nietylko tam, gdzie los Polski się waży, ale i tam wszędzie, gdzie budują się zasady nowego porządku świata.

Przykład króla Piotra, który napewno do swego oporu zaczerpnął ducha z męskiej postawy naszego rządu — jest dowodem, że nastrój powszechnej kaptulacji zmienia się i może ustąpić innym, zdrowym nastrojom; przykład tego, co Rosja zrobiła swemu wiernemu Beneszowi potwierdza jak nic dotąd jaskrawo prawdę, że wszelkie ustępstwa względem Sowietów wzmagają tylko ich cynizm i apetyt.

Naród polski nie spodziewa się natychmiastowego zwycięstwa swych najstuszniejzych zadań, których spełnienie jest bez żadnej poezji mówiac. kamieniem probierczym zwycięstwa prawa, demokracji i wolności.

Jest natomiast naród nasz pewien, że to zwycięstwo przwidzie wkońcu napewno jeśli wszystkie siły wyteżymy, aby je wywalczyć. Tei walki nieugiętej, która sam od pięciu lat prowadzi, spodziewa się od swego rządu. Rząd nasz musi tak bracować, tak swoje sprawy wewnętrzne układać, aby ani na chwila tego celu z oczu nie tracić i aby cały wysiłek móc skupić w tei walce.

ARKADY FIEDLER

SERCE POLSKIEGO LOTNIKA

To chłopcacy cudowni, ci z Kościuszkowskiego Dywizjonu 303! Nie tylko umieli zdobywać rekordy zwycięstw, strącając w Battle of Britain dwa razy większą ilość niemieckich samolotów niż dywizjon brytyjskie lecz równocześnie wszyscy lotnicy z “303” odznaczali się wybitnie męską urodą: byli zdrowi, jędmni, uśmiechnięci, przystojni.

Więc mie dziw, że leciały na nich brytyjskie dziewczyny. Bo wnet się rozniosło, że owi zwycięscy myśliwcy, owi egzotyczni obrońcy angielskiego home'u, to także jakies nieprawdopodobne zuchy, okrutnie cięte na krasę niewieścią. Później, w latach 1943 i 4, zastąpią ich amerykańscy żołnierze, jeszcze bardziej niż Polacy zuchwali i zachłanni (i rzecz niebłaha, hojniej wyposażeni w gotówki) ale zanim przybyli do Anglii

Amerykianie, polscy żołnierze, a szczególnie lotnicy, wzięli w jassy i trzymali mocno uczucia Angielek.

Uroczą Lady Smith-Bingham, matka-opiekunka Dywizjonu 303, urządziła dla myśliwców cocktail party w hotelu “Dorchester”. Sprosiła co najpiękniejsze panie z londyńskiego towarzystwa. Przyszły jak jasne, szlachetne kwiaty, by poznać sławnych lotników. One i oni tańczyli, uśmiechali się do siebie, pili szampana, byli weseli, byli szczęśliwi, zakochiwali się. Nie tym Kochaniem, które jest brzemienne jak los, lecz tym, które jest jak barwny, płochy motyl.

— Ależ to niezrównani tancerze! Teraz rozumiem ich powodzenie u kobiet! — stwierdzał ze sportowym uznaniem obecny na bankiecie, zażywny markiz Donegall, i choć mówił, że rozumie, to po prawdzie — nie

rozumiał sedna rzeczy. Oni nie tylko dla tańca mieli powodzenie.

Jedna z powabnych ladies, młoda wdówka po kilku cocktailach straciła angielską powściągliwość i uwzięła się na Jana “Donalda”. Jan był najweselszy z dywizjonu a przytem jeden z pierwszych asów już wtedy miał na rozkładzie dziewięć niemieckich samolotów. (Ostatniego przeciwnika zestrzelił dwa dni przed party). Angielska lady prawiła mu słodkie, kuszące słowa, oceniała dodatnio szerokość jego polskich barków i mówiła mu wesoło:

— I like you, Jan!...

A Donaldowi zaświeciły się oczy wilkiem, bo to był zboreznik z nich największy. Wyszeptał:

— I love you, too!...

Lecz potem nagle coś dziwnego nastąpiło. Coś zepsuło angielską sielan-

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 80 cents
Half yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

kę. Jan, tak zuchwały zazwyczaj, ni stąd ni zowąd — ostygł. Widocznie wypił za wiele, bo mu się coś przywidziało. Jakaś zjawa przez mgłę, jakieś dalekie wspomnienie. Ujrzał inne oczy niż Angielki: chabrowe. Ujrzał inne usta: wiśniowe. I był to ktoś inny niż lady: Zosia. A może Wańdzia lub Maryśka, chociaż z pewnością była to Zosia. I słyszał, najwyraźniej usłyszał jej daleki głos, pełen polskiej pieszczoty i tęsknoty.

— Czy pamiętasz mnie, Jasiu?!

Gdy usłyszał ten głos i ujrzał swą Zosię oczami duszy, ostygł w swych zapalach i już za nic w świecie nie mógłby pięknej lady powiedzieć zuchwale: I love you.

Bo serce, polskie serce, to dziwna rzecz: może włóczyć się po całym świecie, może upadać na rozdrożach, uzbrajać się w pancerz zapomnienia, upajać się blaskiem obcego nieba, — aż oto zniemacka i chytrze zgotuje sobie samemu podstęp i wpadnie we własną pułapkę. I ujrzy uśmiechniętą z daleka Zosię, albo przytulną strzechę nad Wisłą, albo samotną mazowiecką sosnę na piaszczystym wzgórzu.

I już uśmiechy najpiękniejszych ladies, wpatrzonych w zachwycie w poskiego lotnika, stracą urok: będzie to uczciwa, rzewna, dobroczynna pułapka ludzkiego serca.

TRZECI FRONT
TO SPRZEDAŻ
BONDÓW
WOJENNYCH
KUPUJ
BONDY

STANISŁAW STRONSKI

PRZYJACIELE ROZUMIEJĄ — A MY SAMI?

(KORESPONDENCJA "TYGODNIKA POLSKIEGO")

Dzień 15 grudnia 1944, w którym Izba Gmin przeprowadziła ważną rozprawę o Polsce i w szczególności o żądaniach Rosji wobec Polski, będzie zanczany do wielkich dni parlamentu Brytyjskiego. Już poprzednie rozprawy Izby Gmin po mowach p. Churchilla z lutego, maja, września i października 1944, podobnie jak Izby Lordów dobitnie stwierdziły że w Izbach tych rozróżnienie między dobrą a złą sprawą zawsze znajdzie mocny wyraz. Obecnie, gdy p. Churchill w mowie z 15 grudnia 1944 w Izbie Gmin wyraźniej niż kiedykolwiek postawił wobec Parlamentu sprawę poparcia przez W. Brytanię załatwienia spraw Polski w duchu życzeń Rosji, która pragnie zabrać wschodni obszar z Wilnem i Lwowem, za co Polska miałaby otrzymać część Prus Wschodnich i posunąć się na Zachodzie ku Odrze, opór przeciw takiemu targowi wyraził się z mocą i powagą, które w wielkich chwilach opromieniają dzieje Macierzy Parlamentów nad Tamizą.

— Gdyby w 1944 — mówił p. ... — gdy Wielka Brytania stała sama w czi niepokalanej, a w bitwie o W. Brytanię obok nas ginęli tylko Polacy, powiedział ktoś, że rękojmia brytyjska dla Polski znaczy, iż po wyswobodzeniu odzyska ona przynajmniej połowę obszaru, co by naród brytyjski na to powiedział?

— Przypuśćmy — dodał p. Pethe- rick — że 3 września 1939, P. Chamberlain powiedziała nam, że Polska w której obronie weszliśmy w wojnę, ma być podzielona, a połowa jej od- dana innemu państwu, to czyż sama ta myśl nie jest przerażająca?

— Czy pięć milionów Polaków — pytał P. Alan Graham — poniosło śmierć na to, by połowa państwa prze- szła odrazu pod jarzmo obce a reszta pozostawała pod rządami przez ob- cych narzuconymi?

Oto istota spawy, jak ją pojmują miliony Polaków, miliony Brytyj- czyków, miliony Amerykan, miliony ludzi w świecie, teraz wyrażona po- prostu, jasno, świetnie, w Parlamen- cie brytyjskim przez posłów prawicy i lewicy.

Pp. Graham, Piekthorn i Thomas prześwietlili na wyłot Komitet w Lub- linie jako podstawiony. Pani Rath- bone dokładnie przedstawiła zsyłki ludności polskiej do Rosji w r. 1940 i znowu w r. 1944. Wszyscy uznawali potrzebę dobrych stosunków między Polską a Rosją, ale nie sądzili, by o-

krojenie Polski było właściwą ceną i uobrym zadatkem przyjaźni.

P. Piekthorn radził, by wreszcie za- niechano kpin ze zdrowego rozsądku i nie mówiono, że nigdy nie poręczono określonych granic Polski, gdyż układ poręczający brytyjsko-polski z roku 1939 odnosił się do takiej Polski, jaka wówczas była, a Karta Atlantyczna, odrzucając zmiany dokonane siłą w czasie wojny, również zapewniała nie- naruszalność obszaru Polski z przed wojny.

P. Ivor Thomas dodał:

— Nie mogę myśleć lekko o ukła- dzie poręczającym r. 1939, o Karcie Atlantycznej i o innych wiążących nas zobowiązaniach. Nie były one tyl- ko pisane atramentem. Zostały przy- pieczętowane krwią.

Naczelnym obowiązkiem zaś Rządu Brytyjskiego określił p. Piekthorn, zgodnie z wwodami innych mówców, w słowach, że Rząd J. Kr. M. musi najpilniej baczyć by Wielką Brytanię nie mógł spotkać zarzut, iż przyczyni- ła się do jakiegokolwiek niekorzst- nej dla Polski zmiany granic lub do narzucenia Polsce jakichkolwiek rząd- dów naruszających jej rzeczywistość niepodległość.

Zamykając rozprawę p. Eden wyraził zadowolenie ze szczerego wypo- wiedzenia się posłów w słowach bar- dzo wymownych:

"To, że te poglądy nie zgadzają się czasem z poglądami Rządu J. Kr. M., nie znaczy wcale, że są one niesusz- ne."

To pewna, że o tem, co się myśli w tym względzie w Wielkiej Brytanji, dowiedzieli się wszyscy, dowiedziało się cały świat, dowiedziała się Pol- ska, dowiedziała się Rosja.

W mowie p. Churchilla, gdy otwie- rał tę rozprawę, nie było ustępu bar- dziej zwracającego uwagę niż ten, w którym, z właściwą sobie umiejęt- nością zaznaczył, że St. Zj. Ameryki nie określiły jeszcze wyraźnie swego stanowiska w sprawie Polski i zatar- gu między Polską a Rosją.

Niezwłocznie, bo w trzy dni póź- niej, 16 grudnia 1944, wydane zosta- ło przez p. Stettiniusa imieniem Rzą- du St. Zj. Ameryki oświadczenie, stwierdzające, iż wypowiada się za rzeczywistość niepodległością Polski, oraz za załatwianiem spraw granic po wojnie, a jeśli wcześniej, to tylko w drodze porozumienia stron a nie narzucenia.

Czyż my sami, Polacy, mielibyś- m o dobrej sprawie Polski myśleć go- rzej niż Brytyjczycy i Amerykanie?

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

D U C H

*Na wznak tam leży, gdzie wszedł między króle,
Śpi bez oręża, niegroźny już człowiek,
Bezwładny, w ciemnej zamknięty szkatule,
Brwią nie poruszy, nie błysnie z pod powiek.*

*A jednak myślą, gdy dojdiesz tam kiedy,
Mimo lat przeszłych, z największej oddali
I z dna samego swych nieszczęść i biedy
Spojrzysz tam — jeszcze cię ogniem przepali.*

*Uderzy siłą, co strąca kamienie
Z królewskich grobów i kruszy ich zbroję,
On zaświatowy — aż wejdzie w sumienie
Sądzić twe własne słabości i swoje.*

*Bo oddał wszystko i podjął się dzieła
W pustych przestrzeniach i w czasach bez miary,
By z nich się ziemia świadoma ocknęła,
Ludy i wolność i sławne sztandary.*

*Bo oddał wszystko, nieczuły na szczęście,
Co można oddać — i w płaszczu samotnych
Trwał ponad klęską i trwał nieugięcie,
Przyszłość widzący wśród burz wielokrotnych.*

*I to wywyższa go wciąż, wyogromnia
I w naszych nocach wciąż brzmi jego głosem:
Polska bezsenność, wieczysta asomnija
Nad naszą nędzą, wielkością i losem.*

*I nikt nie ujdzie tej sile z nad niego,
Choć na wezgłowi położył się kruchem,
Człowiek umarły. Spójrz, duchy go strzegą,
By nas odmierzał i sądził swym duchem.*

“Wesele Śląskie” grane we Włoszech



Jak wiadomo nasz Drugi Korpus rozwija niezwykle ożywioną działalność kulturalną i artystyczną, wszędzie gdzie znajdzie się na dłuższym postojach i ma możliwość oddać się tej pracy. Dowodem tego liczne książki i wydawnictwa o których nieraz pisaliśmy. Dziś podajemy fotografię pięknego widowiska “Wesele Śląskie” odegranego przez czołwkę II Korpusu w pięknych strojach i dekoracjach.

WITOLD LEITGEBER

PIĘĆ LAT TEMU W COETQUIDAN

W Londynie, 29 listopada. Z tygodnikiem Polskich Sił Zbrojnych "Polska Walcząca" tak żyliśmy się, zwłaszcza w szeregach żołnierskich, że uważamy go niejako za instytucję wojskową, która chyba istniała zawsze, jak wojsko wojskiem. Tymczasem jest to pismo młode, bo powstało dopiero w czasie obecnej zawieruchy wojennej, a jedynie te silne węzły łączące je ze społeczeństwem polskim nadają mu jak gdyby znamię czegoś, co było zawsze, co musiało być.

Dziś mija pięć lat od ukazania się pierwszego numeru "Polski Walczącej", jedyne pisma emigracji wojennej, wydawanego stale — i pod redakcją tego samego redaktora! Pięć lat to właściwie na żywot pisma nie wiele — wiele jednak się zważy, jak bogate one były w wydarzenia i przeżycia, kłopoty i osiągnięcia, radości i smutki, porażki i zwycięstwa.

"Polska Walcząca" była pierwszym pismem żołnierskim — w pełnym tego słowa znaczeniu — emigracji 1939 roku. Zrodziła się w pierwszym i jedynym wówczas na świecie obozie wojska polskiego, w historycznym już dzisiaj Coetquidan, gdzie Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie zaczęły się organizować z niewielkich początkowo zasobów, gdzie flaga polska powiewała na wolności, gdzie żołnierz polski słuchał jedynie polskiej komendy.

Ci pierwsi "coetquidańscy" stawali się Polską walczącą, gdy milkły strzały w Kraju. A byli oni wówczas niewielką tylko gromadą — stąd nadany przez założycieli pisma podtytuł: "Tygodnik gromady żołnierskiej".

W POPRZEDNIM 2 (107) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: Nocna modlitwa; A. P. Herbert: "Unreasonable Poles"; Antoni Bogusławski: Napis na grobie; Marjan Raczyński: Granice, pakt, moralność; Marjan Hmar: Kartki z pamiętnika; Gabinet Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej pod przewodnictwem Tomasza Arciszewskiego; Michał Choromański: Pamiętnik kanadyjski; Elna Gistedt, naoczny świadek o powstaniu w Warszawie; Opinie i zdarzenia.

Pierwsze chwile pisma podobne były pierwszym chwilom tego powstającego wojska. Jak żołnierz cierpiał wtedy niedostatek, nie miał mundurów, broni, sprzętu i kałr wystarczających — tak samo jego pismo, "Polska Walcząca" w swych początkach nie miała pieniędzy na wydawanie,

czyżnie". Wynika z niego, że myślało już wtedy o szerszym, niż Francja zasięgu dla Polskich Sił Zbrojnych — o Bliskim Wschodzie, o Ameryce Północnej i Południowej, o innych krajach, które zasilić miały szeregi żołnierzy.

"Polska Walcząca" od tego czasu



Tymon Terlecki,
redaktor "Polski Walczącej"

papieru, czonek polskich, a redaktor musiał być w jednej osobie także korektorem, administratorem, ekspedytorem. Ale jak żołnierz-ochotnik był przepojony duchem upartej woli walki, siłą wytrwania i dopięcia swego celu, które kazaly łamać wszystkie przeszkody, tak i "Polska Walcząca" potrafiła pokonywać wszystkie trudności. Te same uczucia i pragnienia, te same nadzieje i myśli ożywiały zarówno szeregi żołnierskie, jak i łamy ich pisma — "Polski Walczącej".

Dalsze losy pisma najściślej były związane z dalszymi losami naszych sił zbrojnych. Gdy Coetquidan przestał być jedynym obozem, gdy zaczęły powstawać inne ośrodki, rozrzucone w wielu punktach Francji, nastąpiła konieczność umieszczenia pisma bardziej centralnie. "Polskę Walcząca" przeniesiono w pierwszych dniach r. 1940 do Paryża. Postanowiono też wówczas połączyć "Polskę Walcząca" z wydawanym przez emigrację polską we Francji dwutygodnikiem — "Żołnierz Polski we Francji". Pamiętką tego jest podtytuł do dziś dnia widniejący: "Żołnierz Polski na Ob-

stała się pismem nie jednego obozu, ale całych Sił Zbrojnych, wojska, lotnictwa i marynarki, a także pismem czytany szeroko przez emigrację polską na całym świecie.

Upadek Francji w czerwcu 1940 roku przerwał na miesiąc wydawanie pisma. Ale podobnie jak klęska francuska nie przekreśliła istnienia naszych sił zbrojnych, tak i "Polska Walcząca" nie przestała istnieć. Już w dniu 21 lipca 1940 roku pojawia się jej pierwszy numer na ziemi brytyjskiej, głosząc w swym artykule wstępnym, że "nie przestaliśmy i nigdy nie przestaniemy być Polską walczącą".

Od tego czasu minęły z górą cztery dalsze lata. W tym okresie "Polska Walcząca" stała się jak gdyby matką innych organów — "Odsieczy, Polski Walczącej w Ameryce" i "Orła Białego, Polski Walczącej we Włoszech". "Polska Walcząca" pozostała przez te pięć lat istnienia wierna swym założeniom, temu samemu duchowi, jaki ją owiewał w okresie młodzieńczym — pierwszych numerów Coetquidan.

Dominującym rysem charakteru "Polski Walczącej" jest jej stosunek do Kraju. Kraj stał się probierzem i wyrocznią dla pisma we wszystkich sprawach, we wszystkich uczuciach i myślach. "Kraj stoi przed nami i ponad nami. Tylko jemu służymy". — Oto dewiza wskazująca drogę redakcji pisma wśród zawiłych nieraz i zwodnych wydarzeń chwili.

Z tego stosunku do Kraju wymikła druga charakterystyczna cecha "Polski Walczącej" — dążenie do jedności. Jedności nie pojętej ciasno mechanicznie, ale jedności w tym, co niewątpliwe, konieczne, wspólne. — "Polska Walcząca" w każdej ważnej dla sprawy polskiej chwili usiłowała i usiłuje przypomnieć, że nie ważne jest to, co nas dzieli, ale to co nas łączy; że ponad wszystkie różnice i spory stokrój ważniejsze jest jedność wszystkich Polaków, wszystkich

działań dla jednego celu: zwycięstwa i niepodległości Polski. Pięknie ten program sformułował redaktor naczelny pisma Tymon Terlecki w jednym ze swych artykułów, mówiąc: "...że od wszystkich różnic ważniejsza jest jedność; że od wszystkich walk między sobą ważniejsza jest walka z wrogiem, że wśród bólów i braków najdotkliwszy jest ból wygnania i brak własnej ziemi."

Nie zawsze, przyznać trzeba, taka postawa pisma odpowiadała wszystkim. Niektórzy oskarżali ją o zależność, nieatrakcyjność. Dziś jednak z pewnej już perspektywy, widać jak ta postawa była, jest i musi być słuszną.

Przez pięć lat "Polska Walcząca" docierała do żołnierzy polskich w barakach i namiotach do stacji lotniczych i na okręty Rzeczypospolitej,

do obozów internowania, a nawet do szeregów Armii Krajowej, niosąc im zawsze dobre słowo i nadzieję, orientując w zawiłych problemach chwili bieżącej oraz, napawając dumą twórczą z dokonania Polskich Sił brojnych, tak zawsze pieczołowicie rejestrowanych na łamach pisma. — Dociera "Polska Walcząca" również do emigracji cywilnej — dla której łamy pisma stały zawsze otworem, — dając jej przedewszystkiem krzepiący obraz tężny naszemu żołnierza.

Tytuł pisma: "Polska Walcząca" — stał się nakazem, który obowiązywał wszystkich Polaków. Hasło to jest ważne dla nas także na najbliższą przyszłość. Niech nam jednak będzie dziś wolno — u progu szóstego roku "Polski Walczącej" złożyć jej życzenie, by jaknajrychlej słowa "Walcząca" zmieniło się na "Zwycięską".

Wspaniały Nowy Film o Polakach Walczących o Niepodległość Polski

Opowiadania o życiu

FRYDERYKA SZOPENA

wielkiego kompozytora który miłował Polskę ponad swoje szczęście i sławę

Zobaczcie ten przepiękny kolorowy obraz o życiu naszych bohaterów i usłyszcie nieśmiertelne melodie Szopena rozbrzmiewające w tym filmie.

"A SONG TO REMEMBER"

z

PAUL MUNI

i

MERLE OBERON

oraz

CORNEL WILDE

Film którego się nigdy nie zapomni.

Ponadto niezwyklej klasy występy sceniczne



RADIO CITY MUSIC HALL 6th Avenue & 50th St.

ANTONI CWOJZIŃSKI

C U D

OPOWIADANIE, OPARTE NA LEGENDACH, KRĄŻĄCYCH PO WARSZAWIE
W CZASIE NIEMIECKIEJ OKUPACJI

Przez puste ulice Warszawy niemiecki żołnierz prowadził paru spóźnionych przechodniów. Za przekroczenie godziny policyjnej zostaną poddani surowemu badaniu i pewnie pojedą na roboty do Niemiec. I tak mieli szczęście — myślał żołnierz — bo po ósmej zwykle nie pyta się o żadne przepustki, tylko po prostu strzela się do cywilnych. Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu.

— Dokąd ich prowadzisz? — zapytał po niemiecku.

Tak mógł pytać tylko oficer, więc żołnierz odwrócił się i stanął w pozycji "baczność". To jednak, co zobaczył, odebrało mu głos. Przez chwilę patrzył jak oglupiał i nie rozumiał. Przed nim stał stary człowiek z starczą siwą brodą, w zniszczonych, zrudziałych łachmanach, przypominających habit mnicha.

Rzadko w tych czasach można było spotkać księdza. Byli oni zbyt ostro tępieni, żeby mogli pokazywać się na ulicy. A ten szedł po ósmej wieczorem i sam zaczepił żołnierza w służbie, i jeszcze zadał mu bezczelne pytanie! Aż prosił się o doraźną odpowiedź, a conajmniej o dołączenie do eskortowanych.

— Zaraz zobaczysz, dokąd ich prowadzę — odpowiedział po chwili żołnierz i zaczął odpinać torbę z rewolwerem, tym bardziej że mnich dawał wyraźne znaki prowadzonym. Żołnierz odwrócił się, żeby mu nie uciekli, ale nie wiele już z nich zobaczył. Właśnie znikali za rogiem bocznej uliczki.

— Donnerwetter — zaklął i odruchowo rzucił się za nimi, ale było już za późno. Tymczasem mnich mógł mu uciec. Strzelił więc za uciekającymi, ale już tylko na postrach, i odwrócił się do mnicha. Mnicha jednak nie było. Ulica była pusta.

— Vefluchter Kerl! Wpadł do któregoś domu — pomyślał, ale wszystkie bramy były, zgodnie z przepisami, pozamykane. Nawet okna były ciemne, choć zdawało mu się, że w niektórych było przedtem światło.

— A to szajka! — mruknął wściekły, bo było rzeczą oczywistą, że któraś z bram ukryła zakonnika. — Przez chwilę stał bezradny, potem zapisał numery paru sąsiednich kamienic i w nadziei, że jutro otrzyma rozkaz przeprowadzenia w nich śledztwa, poszedł zdać raport.

Nadzieje jego jednak nie ziściły się. Po raporcie został wezwany do maczelnej komendy, tam spisano jego zeznania z najdokładniejszym opisem

mnicha, a potem odkomenderowano go do pułku, który właśnie odchodził na wschodni front.

Komenda Gestapo zbierała dokładne dane o tajemniczym starcu, bo nie był to pierwszy przypadek, z pewnych jednak względów wołała pozbywać się naoucznych świadków.

Mnich zjawiał się zwykle niespodziewanie, z odwagą ganiczącą z szaleństwem, ale mimo swego dekonspirowanego stroju, zawsze jakoś potrafił wymknąć się z rąk władzy. Najczęściej widziano go między przekupniemi na ulicy. Przystawał przy jakichś papierosach, sprzedawanych nielegalnie lecz zupełnie jawnie, lub przy kramiku z sznurowadłami i po chwili miał dokoła siebie gromadkę słuchaczy. Co mówił, trudno było stwierdzić, ale łatwo domyślić się, bo po jego odejściu ludzie patrzeli w przyszłość raźniej a w twarze niemieckich żołnierzy groźniej.

Raz szpicel w cywilnym przebraniu przecisnął się do niego, ale mimo to nie zdołał aresztować go. W ostatniej chwili starzec znikł mu w jakiejś przechodniej bramie co znowu skończyło się wyjazdem szpicla na front.

Inny nawet rozmawiał z nim i usłyszał, że za każde łotrństwo przyjdzie mu ponieść karę — i ten jednak przyniósł komendzie tylko opis zakonnika.

— Średniego wzrostu, chudy, kościsty, lat około sześćdziesięciu — raportował.

Mimo tych sześćdziesięciu lat szybko cofnął się w gruzy rozwalonej kamienicy. Szpicel ruszył za nim, ale wyjmując równocześnie rewolwer potknął się o cegłę i upadł, a starzec znikł jak duch.

— Nazwał cię łotrem i groził ci karą, a ty nie zastrzeliłeś go na miejscu? — ryczał nad nim sam komendant Gestapo. — Za to łotrństwo poniesiesz oczywiście karę.

I ten, mimo rozbitego kolana, pojechał najbliższym transportem na front.

Wtedy zaczęło się coś w rodzaju cichej wojny agentów Gestapo z tajemniczym starcem.

Raz wykryli go w pobliżu głównej komendy Gestapo. Natychmiast odcięto wojskiem parę ulic a w bramach ustawiono posterunki, tak że wszelka ucieczka była wykluczona. — Wtedy jednak starzec, zupełnie spokojnie i na oczach wszystkich agentów, wszedł do gmachu głównej ko-

mendy. Zapytał dyżurnego żołnierza, który o niczem nie wiedział, o biuro komendanta i otrzymałszy informacje wszedł do środka. Komendant, natychmiast zawiadomiany, zarządził najściślejszą rewizję całego gmachu. Nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano, do późnego wieczora przeszukano wszystkie biura i zakamarki, szczegółowo badano papiery każdego żołnierza i urzędnika podejrzewając jakieś przebranie, ale nie znaleziono nikogo.

Komendant wściekał się, co raz więcej agentów jechało na wschodni front, a mnich krążył dalej nieuchwytny po ulicach Warszawy i coraz częściej zaczepiał niemieckich żołnierzy.

— Nie zobaczysz już, Willy, swojej Selmy — powiedział raz do żołnierza Gestapo w jego rodzinnym dialekcie saksońskim. Żołnierz, zaskoczony tym, zgłupiał, ale jego przyjaciel sięgnął po rewolwer.

— Ani ty, Hans, nie zobaczysz swojej Trudi — dodał mnich w dialekcie nadreńskim.

O Trudi nie wiedział nikt oprócz Willego, Hans więc spojrzął na niego z wyrzutem.

— Ja nic nikomu nie mówiłem — usprawiedliwił się Willy. Przez chwilę byli oszołomieni, a gdy odwrócili się, mnicha już nie było. Znowu znikł jak duch.

Poddano ich gruntownemu badaniu, a potem zastosowano poprzednią metodę, to jednak okazało się krokiem niewłaściwym. Po tygodniu przyszła wiadomość, że wraz z całym pułkiem zginęli pod Stalingradem. — Przepowiednia sprawdziła się i w szeregach Gestapo zjawiała się nerwowa przesądność. Komendant jednak był innego zdania.

— To będzie nauczka dla nich — zawyrokował. — Teraz żaden nie da mu uciec, gdy go spotka.

Żeby ułatwić to spotkanie, odczytano na porannej odprawie dokładny opis poszukiwanego. Ktokolwiek i gdziekolwiek zobaczył go, ma natychmiast aresztować, a w razie najmniejszej chęci ucieczki — zastrzelić.

Jakby na ironię w pół godziny później porucznik, który odczytywał rozkaz, spotkał go. Idąc pustą uliczką pełną rozwalonych kamienic, zatopiony w rozmyślaniach o swojej Mitzi w Berlinie, zobaczył go nagle przed sobą. Uradowany podszedł cicho z tyłu, przyłożył mu do boku lufę rewolweru i spokojnie zapytał:

— A czy ja, lieber Vater, zobaczę jeszcze moją Mitzi?

Trzymał palec na cynglu, gotów zgodnie z rozkazem strzelić przy najmniejszej chęci ucieczki, ale mnich wcale nie chciał uciekać. Odwrócił się, jakby go wcale to nie zaskoczyło i najspokojniej odpowiedział:

— Zobacysz. Ona jest w drodze. Ale ciebie nie zobaczy.

Oficer, choć usłyszał to w poprawnym języku "Hochdeutsch", wcale nie zgłupiał. Nawet nie zirytował się, tylko spokojnie, z uprzejmym uśmiechem powiedział:

— Ręce do góry, w tył zwrot i marsz!

Wtedy jednak stała się rzecz dziwna. Mnich podniósł ręce do góry, ale równocześnie coś uderzyło oficera w twarz. Jakby jakieś wielkie, miękkie, czarne skrzydło zakryło mu oczy. Może to poła habitu mnicha, uniesiona wiatrem, padła mu na głowę — rozmyślał później, wtedy jednak nagła ciemność w jasny dzień oszołomiła go.. Poczul dziwny strach, bo przez sekundę był zdany na łaskę i niełaskę starca. Miał go jednak wciąż na końcu lufy, więc nacisnął cyngiel, a sam odskoczył w tył, żeby wyrwać się z ciemności.

Jak się to stało, że rewolwer, który nigdy nie zaciął się, nie wypalił, a on odskakując potknął się i upadł, nigdy nie mógł zrozumieć. Przez chwilę walczył z szatą mnicha, gdy jednak uwalnił się od niej, nie miał jej wcale w ręku, a mnich w swym habicie zniknął wśród gruzów domu, przed którym byli.

Oficer mimo to nie dał za wygraną. Ruszył za nim drapiąc się po gruzach w górę. W górze jednak nie znalazł nikogo. Stwierdził tylko, że trzeba było zręczności kota, żeby wydrapać się na miejsce, na którym go widział.

Zwycięstwa starego księdza nad nim, niemieckim oficerem, nie mógł przeżyć. Nie ukrywając więc niczego oskarżył się sam przed komendantem Gestapo, a raport swój zakończył prośbą o przeniesienie do pułku, odchodzącego na front. Komendant prośbę uwzględnił, nim jednak pułk odszedł, do Warszawy przyjechała Mitzi. Właściwie przywieziono ją, bo młoda ta i przed miesiącem piękna kobieta miała twarz pokrytą brązowymi plamami i czarne okulary na oczach. Wypaliła je fosforowa bomba z angielskiego samolotu.

Wiadomość ta, wraz z przepowiednią mnicha szła z ust do ust oficerów i żołnierzy, więc komendant zaprzęgnął najdzielniejszych ludzi do pracy i sam ujął sprawę w swe doświadczony ręce. Cofnął też swój rozkaz wysłania porucznika na front, przydzielając go do swych specjalnych zleceń.

Ne ulegało wątpliwości, że mnich

o zręczności kota był młodym człowiekiem, ucharakteryzowanym na starca i że był w kontakcie z jakąś szajką, która w Niemczech zbierała wiadomości o prywatnym życiu żołnierzy i ich rodzin, aby podkopywać w nich ducha. Stąd jego dokładne informacje o ich dialektach, o imionach ich żon i nie-żon, i o ich losach. Śledztwo jednak, prowadzone z niemiecką metodycznością, nie poprzestało na tym. Staranne zestawienie wszystkich opisów i studia kostiumologiczne doprowadziły do wniosku, że łachmany mnicha były właściwie starym habitem Zakonu Ojców Jezuitów. Tu był klucz do dalszego śledztwa.

Komendant, z właściwą mu szybkością decyzji, zajęchał z paroma oficerami, między którymi był i porucznik do specjalnych zleceń, przed stare mury klasztoru. Gdy struchlały braciszek wprowadził oficerów do rozmównicy i pobiegł na górę po przeora, silny oddział Gestapo otoczył klasztor i pilnował wszystkich wejść. Oficerowie byli w świetnym nastroju. Nie raz już likwidowali takie ekspozytury niearyjskiego Boga i wiedzieli dobrze, jak wydobyć z braciszków zeznania. Jeżeli nie wydadzą poszukiwanego dobrowolnie, tortury rozwiążą języki, a jeżeli i tortury nie pomogą, zastosuje się egzekucję masową.

Właśnie z fachową biegłością układowali plan działania, gdy nagle komendant wbił oczy w stary obraz na ścianie rozmównicy. Z po za poczerwiałych ram patrzył na niego poszukiwany starzec. Te same ascetyczne rysy, nieduża siwa broda w klin i ten sam zakonny strój. Do tego stopnia zgadzał się z opisami w raportach, że komendant miał wrażenie, jakby już gdzieś twarz tę widział.

— To ten? — zapytał cicho porucznik. Wszyscy podnieśli oczy na obraz, a porucznik zaniemówił.

— Ten, panie pułkowniku — wytknęli po chwili.

— Nie myli się pan?

— Mogę przysiąc. Ten sam zarost, to samo spojrzenie... Poznają najdokładniej.

Twarze oficerów rozjaśniły się. Mają go, zanim zaczęli przesłuchanie. Teraz żadne wykryty nie nie pomogą i cały klasztor poniesie za niego karę. Jeżeli tu wisi jego portret, pewnie

to sam przeor, który zaraz wejdzie.

Wszedł jednak ktoś zupełnie inny. Za braciszkiem, który po niego pobiegł, kroczył wysoki, kościsty starzec o wygolonej twarzy i obrzniętym czole.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział na powitanie, a nie otrzymawszy odpowiedzi nie usiadł, choć komendant uprzejmie poprosił go.

— Czego panowie sobie życzą? — chłodno zapytał.

Komendant znał dobrze psychologię ludzi, więc szybko wstał, a za nim reszta oficerów, podszedł do przeora i nagle wskazując na obraz zapytał:

— To członek waszego zakonu?

Spodziewał się wykrętów, ale przeor spokojnie podniósł oczy, a potem w milczeniu skłonił głowę.

— Tak jest — odpowiedział cicho.

Komendant zwrócił się do braciszka przy drzwiach.

— Natychmiast przyprowadzić go tutaj.

Przerażony braciszek spojrzął na przeora, potem na obraz, a potem przeżegnał się.

Komendant położył rękę na rewolwerze przy pasie, a dwu oficerów stanęło po obu stronach braciszka. Praktyka nauczyła ich, że najlepsze wyniki daje terror stosowany błyskawicznie. Jedno uderzenie na początku daje lepsze wyniki niż kunsztowne tortury, stosowane później, gdy w badanym zrodzi się upór. Przeor jednak przerwał ich zamiary krótkim i cichym owiadekaniem.

— Ten członek naszego zakonu nie żyje już.

Oficerowie roześmieli się serdecznie. Ta szajka jeszcze próbuje ukrywać go!

— Wiemy wszystko, księżo przeorze, o całej jego działalności i ukrywanie tego zbrodniarza na nic się nie przyda. Poznaliśmy ten portret od razu.

Przeor zmarszczył brwi, jakby usłyszał bluźnierstwo, a potem skłonił głowę.

— Działalność Jego znana jest całemu kulturalnemu światu, a podobizny tego portretu były drukowane także w niemieckich pismach, kiedy ciało Jego sprowadzono z Rzymu do Polski.

Twarze oficerów były dziwnie blade. Zczerniały portret nosił rzeczywistość datę z przed trzystu lat. Wyprężony jak struna porucznik szepnął pobludnymi wargami:

— Przysięgam, że to był on. Wiedziałem go z odległości dwu kroków.

— Nie wątpię — zakończył przeor. — Wielu ludzi widziało go. Czasem w nagrodę za coś, czasem za karę, a czasem — jako ostrzeżenie. To święty Andrzej Bobola. Umarł w roku 1657.

Kupujcie Bondy

Wojenne

Stanów Zjedn.

MARJAN HEMAR

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

"POLAND TO-MORROW"

*W politycznej dziedzinie
Kolosalny improvement,
Bo już mamy w Londynie
"Polish Underground
Movement."*

* * *

*Już zarejestrowana
"Polish Fighting Guerilla,"
Ich manifest bojowy —
Mowa p. Churchilla.*

*W "czarny piątek" różowo
Było w partji, szampańsko,
Cieszyli się tą mową,
Tą "Kartą Teherańską."*

*"Grunt to mowa!" — wołały
Polish Underground Forces —
"A debatą, po mowie,
Niepotrzebnie się gorszysz".*

* * *

*Wesoły im dzień nastał —
Przemówił p. Stettinius.
Pierwszy przybiegł Krzywonos,
Nowinę dobrą przyniósł.*

*Przyleciał Krzywousty:
"Jeszcze lepsza nowina —
Reprezentant francuski
Pojechał do Lublina!"*

*"Dobrze im tak! Socjałom
Z faszystowską reakcją!"
I znów się uściskali,
Z prawdziwą satysfakcją.*

* * *

*I nużę w bój, z okrzykiem
"Jeden lud, jeden firer!"*

*Już Krzywousty — sniper,
A Krzywonos — franktirer.*

*Już w ruchu tajna "dwójka" —
Z Krzywoustym Krzywonos,*

*I polski "Sten-gun" — płotka,
I polski "Bren-gun" — donos.*

*Szczurze piski i chrobot,
Robota na całego —*

*Podziemna "Radjostacja
Im. Wielopolskiego".*

* * *

*Historja emigracji
Do znudzenia ta sama.
Zmieniają się przechodnie —
Zostaje panorama.*

*Teraz oni wydają
(Po oburzeniu takim!)
Polish Underground Paper
"Nie jestem Polakiem."*



Powstańcy warszawscy po kapitulacji.



Miasto po blitzu

WYSTAWA TOPOLSKIEGO

Oddawna zapowiadana otwarta została 15 stycznia i będzie dostępna dla publiczności przez dwa tygodnie — wystawa rysunków Feliksa Topolskiego w znanej galerji Knoedlera (przy ulicy 57mej). Z wielkiego dorobku naszego artysty, idącego w liczne tysiące już rysunków — pokazano nam znakomicie oprawnych i doskonale rozmieszczonych zaledwo trzydzieści. Nie dają one oczywiście pełnego obrazu tej niezwyklej twórczości, dziś ocenianej już przez świat cały — ale są niejako biletem wizytowym Topolskiego w Ameryce, zapowiadającym jego stały tutaj sukces. W następnym numerze "Tygodnika" Felicja Lilpop-Krancowa napisze o tej wystawie obszerniej.

WIECZÓR KOŁĘD

TOLI KORJAN

Na parę dni przed Wilją odbył się staraniem polskiego Pen-Clubu w Ognisku Polskiem w Londynie piękny wieczór artystyczny, z którego dochód przeznaczony był na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce. Wieczór poświęcony był kolędom — i poza słowem wstępnem Stanisława Balińskiego i chóralnym śpiewem — najbardziej znanych kolęd po każdej części — wypełniony był przez doskonałą naszą "diseuse" Tolę Korjar i pianistkę Adelę Kotomską. Tola Korjan deklamowała wiersze kolędowe Balińskiego, Lechonia, Lieberta i Hemara, śpiewała kolędy angielskie, sycylijskie, francuskie i nasze — z pod Czarska, z Kujaw i inne. Miała sukces ogromny, budząc na sali nie tylko zachwyt ale i pełen rzewności nastrój. Pani Kotomska grała Bacha, Francka i Scherzo Chopina a-moll, jak wiadomo oparte na motywie kolędy "Lulajże Jezuniu".



TOLA KORJAN

rysunek Henryka Gotlieba

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

PAMIĘTNIK KANADYJSKI

Poniedziałek:

Jesteśmy po Świętach i życie włożyło się w normalne tory. Normalny tydzień — jak to powiadają nasi ludzie w Kanadzie — składa się tutaj z pięciu poniedziałków, połowy soboty i jednej niedzieli. Po przyjeździe z Brazylii trudno mi było do tego się przyzwyczaić.

Bohater pewnej komedii zawołał ze sceny, że "nie ma narodów, są tylko klimaty"! Znudzony a ciekawski Mefisto, był widać obecny na widowni, podśledzał i nuż dla zabawy wypędzać ze Starego Kontynentu legiony europejczyków. Rozsypał ich po całej kuli ziemskiej — co niby z tego wyniknie? Czy mieszkaniowiec północnych fiordów przeniesiony nad ujście La Platy nauczy się hiszpańskiego smutku, smutku który nie opuszcza hiszpana nawet wówczas, gdy pozornie jest wesoły. Czy południowy Włoch w zaspach Ontario nauczy się angielskiego spokoju, o którym Conrad powiedział, że do końca życia pozostał dlań zagadką: bo i z czego wynika — z prostoty czy też z zarozumiałości? Sporą garść Polaków wyrwano również z korzeniami z ich ziemi, i Mefisto, niczym kucharz doskonały, rzucał szczyptę tam, szczyptę gdzie indziej, kilkaset w Brazylii i Kanadzie, aż nie wytrzymał i przepieprzył w N. Yorku.

W przyszłej historii pielgrzymstwa polskiego warto było by rozdział poświęcić terenowemu zabarwieniu naszego uchodźstwa. Bo że takie istnieje to fakt. Co bynajmniej nie przekreśla jego względnie jednolitego ducha. Jakaż różnica różnica istnieje między uchodźcą w Brazylii, a uchodźcą w Kanadzie na przykład! Jakimże Londyn jest ten sam warszawiak z Londynu, a ten sam z Afryki!

Wtorek:

Zarzucają nam naprzykład, że "uchodźcy w Kanadzie są bardziej w sobie zamknięci" niż dajmy na to uchodźcy w Brazylii. Tworzą jakoby zamknięte swe kółka w których tkwią, hamując rozwój polskiego życia zbiorowego. Niektórzy pochopnie wyciągają stąd wnioski — że niby są realistami. Że jakoby uczynność, gościnnosć oraz życie towarzyskie nie idzie w parze z realizmem.

Przypatrzmy się wczorajszemu poniedziałkowi. Jak spędza go przeciętny uchodźca w Kanadzie. Może do innych wniosków dojdziemy.

O godzinie 6-tej rano, gdy noc jeszcze za oknem, przeraźliwie turkocze budzik i przeciętny uchodźca wstaje. Wierna towarzyszką życia mężnie choć niechętnie wstaje rów-

nież i, póki mąż się myje, gotuje na gazie kuchenki kawę. Niekiedy daje mu na drogę zawiniętą w bibułkę kanapkę, taką samą jaką dawali nam rodzice do szkoły. O 6 i pół przeciętny uchodźca wychodzi na ulicę i minut kilka brnie po śniegu do przystanku. Na czekaniu na tramwaj znowu kilka minut upływa; potem tramwajem lub autobusem jedzie przeciętny uchodźca do jakiegoś skrzyżowania, gdzie przesiada się na inny tramwaj lub autobus, aż wreszcie po niecałej godzinie dociera do fabryki. W fabryce wykonuje pracę przeważnie fizyczną i do której — przed wojną — przeważnie przygotowany nie był. Wykonuje ją jednak najlepiej jak potrafi, bo jest wojna i jest to t. zw. front domowy. O dwunastej jest przerwa obiadowa, ale ponieważ na obiad wrócić do domu nie zdąży, spożywa go przeciętny uchodźca w restauracji fabrycznej; potem znowu powraca do pracy. Gdy o piątej wychodzi z fabryki i przebojem zdobywa miejsce w tramwaju, wygląda dziarsko, ale niektórym brakuje tylko cylindra aby ująć za kominiarza. Trochę po szóstej wieczorem uchodźca wraca do domu, bierze prysznic, podczas gdy żona odgrzewa kolację. Po kolacji w poniedziałek bierze uchodźca do ręki książkę, na godzinkę — tak twierdzi. Żona natomiast zaprzecza, w mojej obecności: Nieprawda! Jesteś taki zmęczony!

Pytam: — Czy ma pan ochotę z kimś się wówczas zobaczyć? Odwiedzić przyjaciół, zaprosić gości?

— Owszem, ale na krótko, chyba że mieszkają w pobliżu.

— Czy chodzą państwo do kina?

— Raz w tygodniu. Niekiedy jednak wolę wcześniej położyć się spać..

Więc w poniedziałek przeciętny uchodźca kładzie się wcześniej do łóżka i wkrótce zapada w twardy sen, z którego go budzi, w następny "poniedziałek" natarczywy dzwonek budzika. Trudno naprawdę w ten rozkład dnia wpakować kwadrans życia zbiorowego. Przeto trzeba oddać należne tutejszym t-wom Uchodźców, Inżynierów, Techników i inn. że mimo to nie ustają w swej stałej społecznej działalności.

Co do gościnnosć, istnieje tu pewna fomułka: Dobrze temu mówić o gościnnosć, kto sam statków nie zmywa.

I przypomniało mi się, jak w Kurytybie, pewnego popołudnia pisałem na werandzie — kończyłem właśnie sztukę. I pewien ponury jego-ność przechodząc obok powiedział

głośno: "Dobrze temu pisać na maszynie, kto nie pracuje".

Środa:

Muzyki mamy w Montrealu pod dostatkiem. Z teatrem natomiast gorzej. Coprawda istnieje stały teatrzyk francuski Arcade, istnieje też ten w rodzaju rewii, a przy ulicy Gui mieści się angielska amatorska scena Montreal Repertory Theatre.. Są ambitne, wysiłek ich artystyczny zasługuje na uznanie, ale z ręką na sercu, nie wiem czy można to wszystko uznać za teatr prawdziwy. Niech mi moją szczerosć wybaczą przyjaciele kanadyjczy, którzy zresztą sami są tego świadomi i nad tym boleją.

W krajach młodych, w Kanadzie, w Brazylii, teatr zanim się narodził, już się zapoznał z kryzysem. Złośliwy dziennikarz brazylijski nazwał go "dzieckiem, kóre zachorowało na koklusz w łonie matki". Coraz częściej słychać, że teatr jest przeżytkiem, sztuką która nie wytrzymała konkurencji z kinem. Bo — kino było tańsze; bo — w kinie nie było antrak-tów; bo.. — Ale opuszczam dalsze "bo" i zatrzymuję się na antrak-tach. Po raz pierwszy słyszałem o nich od t. zw. szarego widza. "Nie chodzę do teatru, rzekł, bo nie wiem co robić w antrak-tach. Czy mam czytać gazetę, czy też latać po korytarzu i szukać znajomych? I jedno i drugie psuje mi nastrój".

Film przyzwyczał nas do ciągłości. Jak się okazało ("Gone with the wind") możemy przesiedzieć w fotelu kinowym cztery godziny jednym tchem. Może teatr powinien się dostosować do wzmożonej odporności widza? Może przyszedł czas na jedno-aktową sztukę wypełniającą cały wieczór? Cheiał bym to ostrożnie podsunąć Ziemińskiemu, który czytał nam w Rio swą ostatnią sztukę przez popołudnie, wieczór i część nocy. Posiada talent takiego naturalistycznego, dokładnego opisu, że opisana przez niego jedna godzina życia, trwa na scenie — dwie. Skoro wspomniałem jego nazwisko, spieszę dodać, że jest to ten sam, owszem, ten sam Ziemiński tak dobrze znany czytelnikom Tygodnika Polskiego. To o nim systematycznie kilka razy do roku ukazują się wzmianki, że niezadługo wraz z Eichlerówną przyjadą do Nowego Yorku... Ziemiński w Rio de Janeiro prowadził brazylijski teatr amatorski i niewątpliwie dźwignął go na wyżyny sztuki zawodowej. Z właściwą sobie łatwością i beztrudną opanowawszy język portugalski, kreował bohatera w wojennej sztuce "Kres Wędrowki", przedstawieniu

stojącym na najlepszym poziomie teatru z prawdziwego zdarzenia, nie mówiąc o tym że trwało znacznie krócej od lśnej wojny światowej. Sukces artystyczny Ziemińskiego winien ucieszyć każdego z nas. Zwłaszcza że doszedł doń najzupełniej samodzielnie. Tutaj chciałem się o coś spytać. Dlaczego z reguły, pisząc o naszych artystach, wspominamy tylko o ich sukcesach? Chcemy im dopomóc reklamą?... Ale przecież reklamy wśród uchodźców artyści potrzebują w ilości raczej nikłej. Znacznie więcej dopomoc możemy wspominając nietyle o ich sukcesach, co raczej o niepowodzeniach.

Bo wydaje mi się, że nie to jest ważne co artysta na uchodźstwie dokonał potrafił i jakie powodzenie osiągnął, ale to jest ważne, czego nie dokonał i czego nie osiągnął. I dlatego. Może zabrakło mu w pewnym momencie tego, co fancuzi nazywają coup d'épaule?... Ale do tego wróć innego dnia.

Po wyjeździe z Kanady Modzelewskiego, Krzemieńskich i Lipskiego, pozostała w Montrealu, tylko pani Hanna Ceranka Poznańska, którą słyszymy zbyt rzadko i mało, a której wieczoru recytacyjnego tak bardzo nam brak.

Czwartek:

“Pan z książki telefonicznej. Albo po prostu zwykły przechodzień z ulicy. Oto najniebezpieczniejsi ludzie naszej epoki! Chwycono jego wprost z trotuaru, tamtego wyrwano z książki telefonicznej, i wrzucono w odmęt historii.

Nie nie rozumie, czego od niego chcą. W każdym razie nie chce tego, co weń wprawiają. I z przerażeniem słucha zapewnień, że niby to wszystko co się dzieje, to dla jego własnego dobra. Nie wie czego się trzymać, komu ufać. Bierze gazetę do rąk i wydaje mu się, że czyta Dziennik Ustaw: w dzisiejszej — rozkaz wierzyć w to, w jutrzejszej — wierzyć w tamto. W kinie ogląda program, który mami i zwodzi, ucząc lubić pewną rzeczywistość, tę samą, którą w tydzień później uczy nie lubić. O faktach dowiaduje się dopiero z historii. Jeżeli jest prawda, dowiaduje się o niej ponawczynie. Zresztą nigdy nie powiedzą mu wszystkiego — tylko połowę. Każą mu kochać ten lub ów ustrój, taką czy inną ideę — a on już dość ma wszystkich ustrojów, i wie niestety, że najstraszliwszym, najkrwawszym wynalazkiem wojennym była właśnie Idea! więc woli od razu położyć się pod samochód, niż spotkać ideowca...

“Tylko jedno pozostało mu drogie. Zwykłe codzienne życie. Ludzkie. Takie, jak Pan Bóg przykazał.

“O człowieku z książki telefonicznej! o przechodniu nieznanym! jestem two-

ją matką, i nie wiem czy mi kiedy wybaczysz to, że cię urodziła.”

Takie oto słowa wzniosłe, niemal rymowane, wypowiedziane przez starą mądrą uchodźczynię, zanotowałem dzisiaj chciałem.

— Wie pan, mówiła dalej, o czym ja marzę? Nawet już nie dla siebie. Ale dla syna. Żeby historia wreszcie...

Urwała trochę skłopotana. — Nie będzie się pan śmiał?... Dobrze? Więc odpowiem: żeby historia wreszcie przeszła do brydza... Zaraz to wytłumaczę. Wczoraj o mało się nie popłakałam. Graliśmy w brydza, a jeden z panów jak nie krzyknie. Aha! Złapałiśmy Kościuszkiego... Aż mnie coś za gardło ścisnęło. Takie to było dobre, tak jakieś ludzkie. Bo pan uświadamia sobie na co się waży?... A tu nie! Nikt mu tego za złe nie wziął nikt odpowiedniego raportu do odpowiednich władz nie napisał. Gramy sobie dalej i spokój. Bo dzięki Bogu, przeszłość naszą, my teraz tylko i poprostu kochamy. Kochamy i kropka. Bez goryczy. Bez nienawiści. Nie tak, dajm na to, jak ks. Kitowicz. Proszę mi wybaczyć, ale zawsze czułam że na dzień jego pamiętników jeszcze się żarzy nienawiść. Słowo daję, potrochu pisał tak, jak gdyby sam był uchodźcą. Taka byłam wczoraj tym drobniakiem wzruszona. Coprawda, przegrał ten pan w końcu. Zapomniał, że mam jeszcze atutową błotkę. Więc on króla wyimpasował, a ja go dwójką! a ja go dwójką...

— Lik!... Boże, co ja powiedziałam! spłoszyła się nagle i co prędzej zasłoniła sobie usta dłonią.

Piątek:

Pisałem o coup d'épaule, o dolach i niedolach artystów naszych. Ale jak się żyje artystom polskim w Kanadzie? Co uzyskali, czego zrobić nie zdołali i czemu? Chciałbym kiedyś tydzień temu poświęcić. Odwiedzić każdego lub list napisać: jak się któremu wiedzie, co zamierza? Niewielu ich tu mieszka, wszyscy chodzą trochę samopas. W Ste Adele, w górach pobliskich mieszka Jerzy Giżycki, autor Białych i Czarnych: pracuje nad nową książką. Tamże na zimę przeniósł się Rafał Małczewski, prawdopodobnie jak zjedzie z powrotem w dolinę, a raczej na wyspę montrealską, przywiezie parę “olejniaków”, bo wiem, że się odgrażał. Pisze: Miło tu, trochę nasze strony przypomina. Ste Adele to jakby skondensowane Zakopane, w wydaniu Reader Digestu... Mamy paru nowych pisarzy polskich — lotników, ale tych złapać trudno, bo dziś są w Montrealu, jutro w Kairze lub Bombaju, a pojutrze na Labradorze. Ruth Sorel, z dużym powodzeniem artystycznym, dała w His Majesty's Theater recital taneczny: “Ręce Lady Macbeth”, z występ-

pami wybiera się wkrótce do Quebecu i Ottawy. A dziś spotkałem przypadkowo u znajomych kanadyjczyków panią Adelinę Czapską. Twarz młoda, żywa, oczy jak węgle, a włosy niczym przepiękna peruka markizy. — Jak się pani wiedzie, pani Adelino?

— Ano, dziękuję, westchnęła, wiedzie mi się.

Mieszka w Kanadzie od dwóch lat, wojna zastała ją w Paryżu. Daje teraz lekcje śpiewu w Montrealu, uczniów — powiada — że ma coraz więcej. Wieloletnia primadonna opery warszawskiej, po przyjeździe do Kanady pracowała w fabryce, ale potrafiła w końcu życie nanowo odbudować, do sztuki swej i zawodu powrócić. I wszystko o własnych siłach, podkreśla, sama byłam, sama jestem.

Samotność artystów naszych na uchodźstwie różne ma źródła i przyczyny, sztuka — powtarzam — straciła swe zaplecze, ktoś powiedział: Świat się wali a pan o rymach. Ale w źródłach i przyczynach warto byłoby się kiedyś rozejrzeć, uważnie, życzliwie, aby gdzie można dopomóc, artystę na duchu podtrzymać.

— Smutno mi jest — powiada Adelina Czapska takim tonem, że przez chwilę patrzę na nią uważnie, smutno mi bardzo, bo wiem, że powinnam jeszcze śpiewać. Lekcji mogę udzielać wtedy, gdy na własną swą karierę krzyż postawię. Ale czuję, że jeszcze zawczasie. Szkoda mi się marnować. W tych dniach na przykład śpiewałam w Ecôle Supérieure de Musique. Pomyślałam, że gdybym..

O koncercie tym słyszałem. Prasa pisała o nim entuzjastycznie.

Potem mówimy z Panią Adelina o impresario, o wyczynach na artystycznym rynku tutejszym...

Sobota:

Dziś w Montrealu gruchnęła pogłoska, że istnieje w Kanadzie Oddział Polskiego Instytutu Naukowego. Zapytano mnie nawet telefonicznie: czy to prawda? Zdziwiłem się trochę. Skąd taka niepewność. Odpowiadam, oczywiście, że tak, nikt się z tym nie kryje, bo i nie ma powodu prawdy ukrywać, nie ma w tym grzechu. Sam o tem wiem coś niecoś. Instytut pomógł mi, gdy szło o przekład angielski pewnych moich utworów — przy tej sposobności, miło mi za to serdeczną podziękę wyrazić. Ale skąd ten telefon? Skąd to zamieszanie? Pomyślałem sobie, że może za mało się o Instytucie wie, zamało się o nim słyszy. Cieszy mnie więc szczególnie, że od niedawna powstała przy nim Komisja Literatury i Sztuki, dowodzi to niechybnie zainteresowania przedstawicielami sztuki naszej z obczyźnie. Może z tego coś wyniknąć? Może spodziewać się mogą z tej strony coup d'épaule, o którym wspominałem.

OPINIE I ZDARZENIA

PAN BENESZ DOCZEKAŁ SIĘ ZA SWOJE

Bardzo poważni i dobrej wiary ludzie mówili nam jeszcze niedawno: "Oczywiście że oddawna wszelkie porozumienie z Rosją jest niemożliwe. Ale gdyby Sikorski od razu coś niecoś tylko dla prestiżu Rosji ze Wschodniej Polski ustąpił, napewno Sowiety, które chorują na manję prześladowczą zadowolilyby się i dałyby nam spokój. Trzeba było brać przykład z Czechów. Benesz pierwszy porozumiał się z Rosją i dlatego napewno Czechosłowacja będzie uszanowana w granicach swych i wolności, służąc za przykład dobrej woli Rosji wobec tych, którzy są jej przychylni."

Chcielibyśmy dzisiaj pogadać z temi, którzy tak pięknie imaginowali sobie przyszłość sprzymierzonej z Sowietami Czechosłowacji. Bo oto Sowiety, traktując pana Benesza jak swego wasala potworzyły wszędzie gdzie chciały na terytorjum Czechosłowacji swoje Komitety komunistyczne, wcieliły Ruś Podkarpacką do "sowieckiej Ukrainy" i jak dotychczas nie słychać wcale, aby miały zamiar wypuścić swoich "pierwszych sojuszników" do Pragi. Nie jest to wcale wykluczone, że bolszewicy którzy lubią robić szatańskie kawały — każą się poprostu panu Beneszowi porozumieć z jakimś "komitetem brneńskim" w guście komitetu pana Osułki — albo powiedzą poprostu, że dla nich prezydentem jest pan Hacha i od niego wydostaną podpis na rozbiór Czechosłowacji, pozostawiając wogóle sprytnego pana Benesza na boku.

Oto do czego doprowadziła Czechosłowację polityka ostatniego, przy życiu pozostałego grabarza przedwojennej Europy, polityka polegająca na ciągłym wymigiwaniu się od walki i ciągłym wysługiwaniu się obcym, byle możliwym. Pan Benesz oddał bez wystrzału Sudety Niemcom i teraz wygląda na to, że odda bez wystrzału Ruś Podkarpacką — bolszewikom. Oto wzór realizmu, który nam, niepoprawnym marzycielom nieraz dawano do naśladowania.

Byłoby z czego mieć wielką "Schadenfreude" gdyby za tę politykę nie płaciły Bogu ducha winne narody Czechów i Słowaków, gdyby krzywda czeska nie odbijała się i na nas, bo wbrew temu co pan Benesz myśli i głosi, los nasz jest i musi być wspólny. Ciekawe — czy też coś się teraz w Czechach poruszy, czy ktoś przeciwstawi się grabarzowi Czechosłowacji, czy Czesi zrozumieją wreszcie, że Polacy są nie ich wrogami — ale ich historycznymi i prawdziwymi sprzymierzeńcami.

CZY KRÓL PIOTR WYTRZYMA?

Młodziutki król Piotr jugosłowiański ugiął się w swoim czasie pod naciskiem angielskim, opuścił Michajłowicza, nawiązał stosunki z Tito i dał swą zgodę na ścisłą z nim współpracę powołanego przez siebie rządu bana Subasica. Tak czyniąc myślał napewno, że w ten sposób ratuje swoją koronę i że w ścisłej współpracy z Rosją, ratuje też niepodległość Jugosławii.

Teraz widzi po upadku króla Grecji i po tem jak sobie Tito poczyną w Jugosławii, że pozostaje mu już tylko jedno: podpisałwszy zgodę na regencję, podpisać tem samym własną abdykację.

Młody król, dzielny i szlachetny — postanowił się opierać i mimo największego nacisku angielskiego, — wbrew opinii własnego rządu, czując za sobą naród serbski i wszystkich miłujących wolność Jugosłowian, odmawia pod tą zamaskowaną abdykacją, podpisu. Jest tak młody, tak skrupowany — że jego opór odbywa się w naprawdę dramatycznych warunkach, jeżeli przecież król Piotr wytrwa — stworzy drugie po Polsce źródło oporu przeciw agresji rosyjskiej, w drugim najważniejszym obok Polski politycznym centrze Środkowo-wschodniej Europy.

Król Piotr podkreśla w orędziu swem, że chce żyć w zgodzie z Rosją. Oczywiście. I my też. Bieda z tem i ambaras — że "dwoje nie chce naaz".

BOLSZEWICY NR. 1

Po noworocznym prezencie, ofiarowanym bolszewikom polskim przez Scalinę, to znaczy po przemianowaniu komitetu lubelskiego na "rząd", pierwsi w Ameryce pośpieszyli z wier-nopoddaństwem uznaniem nowego stanu rzeczy panowie: Zawacki, Złotowski, Tuwim, Szymanowski, Penzik i Szyk. Wysłali omi hołdowniczą depeszę do p. Bieruta, mianującego się "prezydentem (!) rządu" w Lubli. nie już w dwa dni po przyjeździe wiadomości o awansie zdrajców lubelskich, wypada więc naszych sowieciarzy uznać za bolszewików polskich w Ameryce Nr. 1. Gorliwcy nasi otrzymali natychmiast laurkę pochwalną od pisma "Daily Worker" z dn. 4go b. m., którą na wieczną rzeczy pamiątkę powtarzamy poniżej:

"Sześciu tutejszych czołowych Polaków, demokratów, wśród których znajduje się kilku profesorów uniwersyteckich, poeta i artysta, wczoraj witali radośnie powstanie tymczasowego Rządu Polskiego w Lublinie i wyrazili nadzieję że ten rząd w niedługim już czasie zdobędzie uznanie Aljantów. Orędzie wysłane do Bolesła-

wa Bieruta, prezydenta rządu tymczasowego w Lublinie było podpisane przez następujące osoby:

Bohdan Zawacki — były profesor Uniwersytetu Wileńskiego.

Ignacy Złotowski — profesor Ohio State University.

Juljan Tuwim — poeta.

Wacław Szymanowski — profesor Uniwersytetu w Pittsburghu.

Dr. Abraham Penzik — znany socjalista.

Artur Szyk — artysta-malarz.

Ich orędzie brzmiało w skrócie jak następuje: "Witamy Polski Rząd Tymczasowy w Lublinie jako jedyne-go przedstawiciela ludu polskiego i wcielenie jego niezmiennej decyzji by przywrócić Polsce jej prawne i honorowe miejsce między Państwami Zjednoczonymi. Jesteśmy pewni, że ten nowy rząd przyspieszy zupełne uwolnienie Polski i urzeczywistnienie wolnej, niepodległej i demokratycznej Polski."

Tyle "Daily Worker".

Do "orędzia" tego niewiele można dodać. Trudno polemizować z taką monstrualnością jak opinia tych panów, że Polska zdobyła "prawne i honorowe miejsce" w świecie nie przez pięć lat walki z Niemcami, przez niezliczone ofiary i przez heroizm Warszawy, lecz przez zdradę komitetu lubelskiego. Zdrada może liczyć na uznanie tylko u zdrajców.

Wypada jednak wyrazić zdumienie, że panowie ci, tak zatroskani o prawa i honor Polski, nie mogą dotychczas znaleźć "prawnego i honorowego miejsca" dla samych siebie. Wciąż jeszcze wahają się z odłotem do sowieckiego raju i siedzą w Ameryce, która nie dorosła nawet do tego, by uznać "rząd" lubelski. Jazda panowie, po "urzeczywistnieniu wolności, niepodległości i demokracji"! Po "prawo i honor" Jazda, jazda!

NOWA KSIĄŻKA FIEDLERA

Wyszła w Anglii nowa książka Arka-dego Fiedlera "Żarliwa wyspa Beniowskiego" jest jego nowym i zupełnym tryumfem. Tematem jej jest Madagaskar: ludzie, ziemia, rośliny i zwierzęta — wszystko zarówno żywe, namiętne, czujące, pełne sekretów, które Fiedler przenika jakąś doprawdy czarodziejską intuicją i które słowem pełnym krwi, koloru, słowem bardzo własnym nam skolei zwierza.

Jest Fiedler napewno w rodzinie poetów przyrody — indywidualnością do nikogo nie podobną. Jego współżycie z przyrodą ma coś tak zmysłowego, tak istotnego, że doprawdy ma się wrażenie, iż pisarz przekracza tu

granice, które dzieliły nawet Kiplinga i Dygasińskiego od świata ich roślin i ich zwierząt. Zawsze pisarz prawdziwy, pełen poczucia odpowiedzialności, zawsze stylista poważny i dbały — jest przecież Fiedler przedewszystkiem sobą kiedy oddycha podzwrotnikowym powietrzem, kiedy brata się z jakimś z dziwnych nazw tylko znami nam zwierzętami, kiedy czuje pulsowanie soków w łądych egzotycznych kwiatów. W nowej książce — wraca do tego właśnie świata, dając serję małych arcydzieł swego szóstego zmysłu i swej pisarskiej fugi; każde opowiadanie zawarte w "Żarliwej wyspie" jest jakby zwrotką poematu pełnego koloru i namiętności. Cudowna książka! Cudowny pisarz... Czekamy na wydanie "Żarliwej wyspy" Bieniowskiego" w Nowym Yorku. Po polsku i po angielsku.

PRZESADNA PRETENSJA

"Jutro Polski", które nas jeszcze nie doszło z Londynu jest to pismo, w którym pan Mikołajczyk składa "swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty". Jak korespondenci amerykańscy z Londynu donieśli "Jutro Polski" wystąpiło podobno z gwałtownym żądaniem, aby pan Arciszewski domagał się udziału w obradach "Wielkiej Trójki", gdzie się będzie mówiło o Polsce. Dodaje podobno przytem "Jutro", że dawny rząd nje mógł się dostać do Teheranu, ale pan Arciszewski musi się dostać na gotujące się spotkanie — bo inaczej będzie "odpowiedzialny". Jest rzeczą jasną, że powinniśmy się domagać ze wszystkich sił naszego udziału w naradach, mających o losie Polski zdecydować; jesteśmy też pewni, że pan Tarnowski ze wszystkich swych sił nad tem pracuje. Ale nie bardzo rozumiemy, dlaczego to pan Mikołajczyk nie uważał za możliwe dobijać się do Teheranu. I uważamy, że największą przeszkodą dla nowego naszego rządu w dostaniu się na nowe obrady są oczywiście precedensy naszej nieobecności, za które jakoś nikt dotąd nie był odpowiedzialny.

"QUO VADIS" WYSZŁO PO POLSKU W RZYMIE

Nakładem niez mordowanego, świecącego całej naszej propagandzie przykładem Oddziału Propagandy i Kultury Drugiego Korpusu wyszło w Rzymie w dwutomowym popularnym wydaniu "Quo Vadis" Sienkiewicza. To wydanie będzie napewno jedną z najbardziej sensacyjnych pozycji w polskiej bibliografii i z czasem jednym z najrzadszych białych kruków. Gdy się pomyśli, że wydali to zwycięzcy z pd Monte Casino, żołnierze, którzy po stu latach wrócili na szlak Dąbrowskiego — książka ta staje się symbolem nie-

tylko naszego losu, ale zarazem i tego, co jest najpiękniejsze, najbar-dziej własne w naszej kulturze.

JANUSZ KORCZAK ŻYJE (?)

Dziennik Polski wychodzący w Detroit podaje pod datą 11go stycznia następującą depezę agencji ONA:

Według wiadomości otrzymanych tu z Lublina, słynny pisarz i pedagog polski Janusz Korczak, dyrektor sierocińca dla dzieci żydowskich w Warszawie, o którego rzekomej śmierci ogłaszano tu raporty, żyje i znajduje się obecnie w Lublinie. Według wspomnianych raportów, Korczak był rze-komo deportowany z Warszawy do obozu kaźni przez Niemców podczas masowych rzezi żydowskich. Obecnie okazuje się, że dr. Korczak stoi na czele Stow. Pisarzy Polsko-żydowskich w Lublinie.

KTO JEST BIERUT?

Londyński tygodnik The Weekly Review podaje co następuje:

"P. Bierut urodził się blisko Lublina pod nazwiskiem Krasidebski. — Podczas ostatniej wojny zmobilizowany został do armii rosyjskiej w stopniu szeregowca. Kiedy w 1917 r. wybuchła rosyjska rewolucja, wstąpił do Partii Komunistycznej, odbył specjalne kursy i ostatecznie przydzielony został do Sekcji Polskiej Kominternu w Moskwie. W 1921 . przybrał obywatelstwo sowieckie pod obecnym swoim nazwiskiem Eugeniusz Bierut. W 1923 r. został posłany w tajemnicy przez Komintern o Polski i przez dwa lata brał wybitny udział w organizowaniu tam działalności wywrotowej. Kiedy w 1923 r. musiał z Polski uciekać, przeniesiony został do Wiednia w charakterze członka Polskiej Sekcji Kominternu oddział na Europę Środkowo-Wschodnią. W 1929-30 oddział ten został przeniesiony do Pragi, a zadaniem Bieruta tam było posyłanie agentów do sąsiednich krajów. W 1932 r. Bierut, pod pseudonimem "Bieńkowski", posłany został do Polski, gdzie go aresztowano i skazano na siedm lat więzienia. Jako obywatel sowiecki został wkrótce wymieniony na Polaków więzionych w Związku Sowieckim i wrócił do Rosji. W 1936 r. wrócił do Pragi, gdzie został przydzielony pod pseudonimem "Rutowski" do zagranicznej sekcji GPU. (obecnie N. K. W. D.), która tworzyła tam oddział Kominternu. Tuż przed wojną w r. 1939 Bierut został odwołany do Moskwy, a potem zjawił się we Lwowie z Czerwoną Armią, okupującą Wschodnią Polskę we wrześniu 1939 i kierował osobiście deportowaniem i skazywaniem wielu Polaków i Ukraińców. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej opuścił Lwów wracając do

Moskwy, ale już w grudniu 1941 zrzucony został na spadochronie z samolotu sowieckiego w okupowanej przez Niemców Polsce. Działalność jego wtedy była skierowana przeciw polskiej Armii Krajowej i Administracji Państwa Podziemnego, podlegającej Rządowi w Londynie.

MSZA PONTYFIKALNA KU CZCI BOHATERÓW WARSZAWY

U Św. Jadwigi w Trenon, N. J., gdzie proboszczem jest znany działacz narodowy, Ks. M. Lipiński, dnia 28 stycznia o godzinie 11-ej odbędzie się uroczysta Msza Pontyfikalna ku czci bohaterów Warszawy. "To honor the heroes of Warsaw" — brzmi oficjalna intencja zapowiedzianej uroczystości.

Mszę odprawi Biskup Djecezi Trentońskiej, W. A. Griffin D. D. w asyście wyższych dygnitarz djecezi. Ogółem w ceremonii udział weźmie kilkunastu księży z pośród miejscowego duchowieństwa polskiego i nie-polskiego. Zostaną wygłoszone dwa kazania: pa angielsku będzie mówił Mons. D. Griffiths, a po polsku Wawrzyniec Cyman, prowincjał OO. Franciszkanów z Chicopee, Mass.

Do udziału w uroczystości zaproszeni zostali wszyscy księża Djecezi Trentońskiej, a pozatem delegaci i delegtaci wszystkich parafii polskich w Djecezi.

Zapowiedziany jest także przyjazd Ambasadora Ciechanowskiego, oraz najwyższych przedstawicieli władz stanowych, powiatowych i miejskich.

Zastępuje na specjalne podkreślenie fakt, że ta wzniosła uroczystość odbędzie się z własnej inicjatywy Biskupa Griffina, bez jakiegokolwiek uprzedniej sugestji ze strony polskiej. Biskup Griffin nie poraz pierwszy staje w szeregach prawdziwych przyjaciół Polski. Dawał on już wielokrotnie wyraz głębokiemu przekonaniu, że sprawa Polski jest coraz bardziej sprawą całego świata katolickiego — więcej — wspólną sprawą wszystkich ludzi na globie ziemskim, którzy pragną żyć w myśl nauk Chrystusa.

DOWCIPY LONDYŃSKIE

W Londynie nazywają teraz "Dziennik Polski" — "Pragier-presse", o ministrze Folkierskim mówią — "Po-seydon".

BERNARD SHAW O SWOJEJ ŚMIERCI

Parę dni temu rozeszła się w Londynie pogłoska o śmierci Bernarda Shaw. Pierwszemu reporterowi, który zadzwonił, aby ją sprawdzić, Bernard Shaw odpowiedział: "Pierwsze o tem słyszę".

LISTY DO REDAKCJI

Buffalo, N. Y., 4 stycznia, 1945
Szanowni Panowie: —

Tygodnik Polski — to pismo o cennej wartości literackiej.

Moc ducha narodu odzwierciedla się w jego tężyznie twórczości umysłowej, którą, śmiało twierdzić mogę, Tygodnik Polski odzwierciedla w całej pełni rozwój piśmiennictwa polskiego. Dla nas, Amerykanów polskiego pochodzenia, jest to nabytek, z którego ogół nie tylko powinien korzystać, ale powinien mu być zapewnić tak, aby na większą skalę mógł posłannictwo swoje rozwijać.

Z gruzów i z krwi męczeńskiej Polski — widzę już dziś — zrodzi się okres piśmiennictwa, który, prawda, nacechowany będzie bólem, tęsknotą, ale też madzeją i wiarą głęboką w lepszą przyszłość, będzie to okres ducha, co nie ginie, owszem, co w poniewierce i w cierpieniach potęguje się i wzbija się do szczytów doskonałości.

Oby Tygodnik Polski, będący krzewicielem ducha takiego wśród Amerykanów polskiego pochodzenia, znalazł poparcie z strony tychże!

Życząc Tygodnikowi rozkwitu w jego szlachetnej orce, kreślę się

Z głębokim szacunkiem
Ks. Prałat A. Radziszewski.

Szanowny Panie Redaktorze!

Załączam tutaj czek, opiewający na 10 dolarów w celu otrzymania w zbliżającym się r. 1945 "Tygodnika Polskiego". Równocześnie proszę przyjąć szczerze i serdeczne życzenia szczęśliwego Nowego Roku dla całego zespołu panów, pracujących przy wydawnictwie a raczej przy piśmiennictwie Tygodnika Polskiego. Dałby Bóg by przyszły rok był już ostatnim tej morderczej wojny i zwiastował nam upragniony powrót do zmartwychwstałej Ojczyzny. Sądzę, że Tygodnik Polski dalej będzie doradczym głosem oraz wyrazem opinii całej Polonji w Stanach Zjednoczonych przypominając naszemu rządowi w Londynie będącemu, by stał za całością ziemi Ojczyzny naszej. Bo

KUPUJCIE
NUMER WARSZAWSKI
"TYGODNIKA
POLSKIEGO"

POTRZEBA
CZYSZCICIELI - SPRZĄTACZY
do dużego budynku biurowego. \$37.00
wraz z "overtime"
Zwrócić się do:
PANA INGE
70 Pine Street
New York City, N. Y.

wszelki kompromis w tym wypadku stałby się kompromitacją w oczach świata.

Z poważaniem pozostaje
Ks. Stanisław Zdebel.
Easthampton, Mass.

Marion, Iowa.

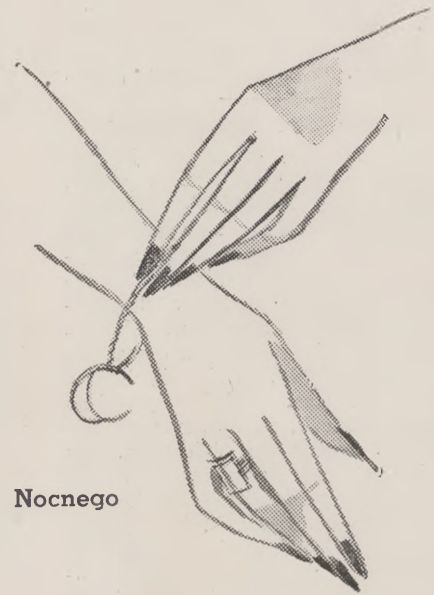
Szanowny Panie:

Zawsze z największą przyjemnością czytam Tygodnik Polski. Dzięki temu

pismu nie zapomniałam całkowicie języka polskiego i mogę śledzić rozwój wypadków dotyczących Polski, kraju, który jest bardzo bliski memu sercu.

Załączam przekaz pocztowy na odnowienie rocznej prenumeraty i życzę Panu pomyślności w pracy i w dalszym rozwoju.

Z poważaniem
Winifred Perkins.

Twoje opierzchnięte ręce potrzebują

HELENY RUBINSTEIN

Dziennego i Nocnego

OCHRONNEGO LECZENIA RĄK

Ziółowy Płyn do Rąk — w dotyku jak aksamit. Wspaniały, wierny opiekun rąk. Zawiera najwięcej efektywne składniki zmiękczające. Masować ręce stale tym płynem. Zobaczysz jak Twoje ręce będą miękkie i gładkie. Jak ślicznie wypiełgnowane! \$1.00

Ziółowy Krem do Rąk — Doskonałe nocne leczenie dla rąk. Ma miły efekt bielący i zapewnia rękom gładkość i delikatność. \$1.00

plus podatek

Helena Rubinstein

Do nabycia we wszystkich większych sklepach